№ 16.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rs. 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp. 22 g. 20).



WARSZAWA
6 (18) Kwietnia
1868 r.

Prenumerować można **Zorzę:**
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica. Nowy-świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży."—*Kazimierz Brodziński.*

RARASZEK.

POWIASTKA.

Przez Joachima Szyca.

Dwieście lat temu, droga z Krakowa do Kielc nie była tak jak dzisiaj wygodną i bezpieczną. Wązkim ciągneła się ona szlakiem przez góry i wąwozy, niebezpiecznemi zarosłe lasami, a tu i owdzie trudne miała do przebycia parowy, grzązkie mokradła, niebezpieczne do zjazdu pochyłości i wszelkiemi tym podobnemi, najeżoną była zawadami. Pomiędzy Wodzisławiem a Chęcinami była ona jakby zawieszona nad przepaścistym parowem, w który się ostatecznie zapuszczała, aby wyjść na rozległą i równą dolinę. Zjazd zaś z góry do tego parowu był tak niebezpieczny, że nikt i nigdy nie ośmielił się doświadczać go pośród ciemnéj lub niepogodnéj nocy, a w jasny dzień hamowano koła, wysiadano z wozów i wszelkie przedsiębrano ostrożności dla uniknięcia niebezpieczeństwa.

Dnia 26 Grudnia 1642 roku, w uroczystość Ś-go Szczepana Męczennika, taka była zawieja i szaruga, że zjazd, o którym mowa, jeszcze przed zachodem słońca niepodobny był do przebycia. Ciemne, ponure chmury zaległy cały widnokrąg, a z nich bezustannie sypał się to śnieg mokry, to grad, to dészcz, a nareszcie uchwycił przymrozek i zrobiła się gołoledź. Ciemność była zupełna, silny wiatr zwiększał się ciągle i przeraźliwe wydawał jęki, rozbijając się o obnażone z liści gałęzie i od czasu do czasu łamiąc tu i owdzie grube drzew konary. A jęki te tak strasznie się rozlegały, że nie można było nawet oznaczyć, zkąd one rzeczywiście pochodziły, czy z chmur, czy z przepaści, czy z lasu.

Na jednym końcu głębokiego i ciemnego parowu, w tém właśnie miejscu, w którém prowadząca z góry droga wychodziła na dolinę, wesoły jaśniał ogień i tak wielką ilość iskier wyrzucał do góry, że możnaby je wziąść za wybuch wulkanu. Ogień ten widoczny był przez otwarte na rozcież drzwi domu, z którego wychodziły tak serdeczne i głośne śmiechy, że zdolne były samą nawet rozpacz rozweselić. Dom ten był kuźnią i mieszkaniem majstra Szczepana, kowala całą gębą, człowieka, który lat czterdzieści przeżył, a nie miał ani jednego nieprzyjaciela, i który każdorocznie uroczyście i wesoło obchodził dzień swego patrona, a to

z trzech wyrozumowanych względów: 1, że to był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia; 2, że to był dzień jego urodzin i zarazem imienin; 3, najważniejsze, że to był dzień, w którym na cały rok następny umawiał sobie czeladź, przy czém nie jeden dzban piwa, nie jedna kwaterka gorzałki się wypróżniła.

Jakkolwiek jasny buchał ogień w kuźni Szczepana, to przecież nie idzie za tém, aby miał gwałcić dzień święty. Jeżeli zdarzył się jaki wypadek podróżnemu, to i na samą Wielkanoc wziął się do młota, przybił podkowę, nasadził cybunt na koło, naprawił wszelkie uszkodzenia wozu, lecz wówczas żadnéj zapłaty za robotę swą przyjąć nie chciał, zobowiązując tylko tego, komu pomógł na drodze, aby sam dowolną dał w jakimkolwiek kościele ofiarę na światło. Ale kuźnia Szczepana i w piątek i świątek iskrzyła się potężnie, bo mu najmiléj tu było z czeladzią przesiadywać; a przytém buchający ogniem komin służył zawsze za latarnię zabłąkanym lub opóźnionym podróżnym. Szczepan w swym domu każdego przyjął, nakarmił, napoił, ogrzał i drogę rozpowiedział, szczególniéj jak drapać się do góry lub spuszczać na dół z téj drogi, która prosto na jego kuźnię wychodziła. Okoliczni też mieszkańcy nazywali dom jego gospodą za-Bóg-zapłać.

Szczepan wszedł z kuźni do izby, w któréj przy buchającym na ogromnym kominie ogniu, skwarzyło się w tyglu kilka łokci kiełbasy, i stał potężny garnek już ugotowanéj i zapalonéj kapusty. Byłoby czém wszystkich krakowskich kowali obdzielić.

—Otóż to, co się nazywa!—wyrzekł wesoło do żony, zajętéj przy kominie. A matka jeszcze to nie śpi—dodał do staruszki siedzącéj na murku pod piecem, w towarzystwie dwóch młodych dziewcząt. Już to prawda, że dziś S-go Szczepana, trzeba zabawić się z czeladzią, a wyją chłopcy jak wilki, aż się cały dom trzęsie. Takiego krzyku raz tylko na rok. Przynieś nam Kachno jadło do kuźni, a będziecie miały tutaj spokojniéj, gdyż może i kto się trafi do domu, bo strasznie ciemno na dworze, a w święta, to jak w święta, jeden drugiego do siebie prosi i wielka krętanina na świecie.

— Wola twoja, odrzekła Szczepanowa. Zabawiajcie się sobie w kuźni, jak się wam podoba, to nam nic nie przeszkadza.

W téj chwili weszło do izby dwóch nieznajomych i jeden z nich złą polszczyzną, jakby od niechcenia stosując się do krajowych zwyczajów, wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków—odpowiedzieli jednogłośnie wszyscy obecni.

— Gość w dom, Bóg w dom—dodał Szczepan. Witajcie miłościwi panowie. Czém hata bogata, tém będzie i rada. Rozgoście się jak we własnym domu; żeby wam zaś się nie nudziło, to moja matka może powiedzieć jaką historyę, bo umié ich dużo. Ja muszę ludzi umawiać.

Powiedziawszy to, wyszedł.

Obaj przybyli, nie obnarzając wcale głów swoich, obejrzeli się do koła, skinieniem powitali domowników i w milczeniu zasiedli na przystawionéj do komina ławie. Jeden z nich, który właśnie przemówił przy wejściu do izby, ubrany był jak ci niemcy, co to z królem Zygmuutem III do Polski przyjechali. Miał na sobie obcisły czarny kaftan, pod samą brodę zapięty, na który wyłożone były białe kryzy, jak kołnierz okalające szyję, dobrze ukrochmalone i dobrze ukarbowane.

Nogi miał opięte aż do kolan bawolemi kamaszami. Głowę okrywał niski kapelusz, ocieniony piórem, a z ramion zwieszał się krótki płaszcz czarny. Siwiejąca ze szwedzka podcięta i podgolona broda była metryką podeszłego wieku, a czarny ubiór i powaga kazały go poczytywać za człowieka nauki. Drugi podróżny szczupły, ze wzrostu na młodego chłopca wyglądający, dziwacznością swego ubrania zwrócił na siebie uwagę matki, żony i córki kowala. Kaftan czerwony i żółte spodnie w cholewy tak szczelnie do ciała przystawały, że zdawały się być nie ubiorem, ale własną jego skórą. Na samym czubku głowy sterczała czerwona wełniana czapka, mocno rzemieniem pod brodę podpięta; z pod téj zaś czapeczki wysuwały się długie poplątane kędziory rudych aż do czerwoności włosów, które spadając na twarz podróżnego, rysów jego dojrzéć nie pozwalały.

— Wybaczy jego miłość—odezwała się matka Szczepana, stara Wojciechowa do pierwszego z podróżnych—że w naszéj ubogiej hacie nie ma nic po pańsku. Ale Bóg łaskaw, jest trochę kapusty, jest kawałek kiełbasy, znajdzie się i kieliszek gorzałki i szklanka piwa, co ze szczerego niesiemy serca. Widać że jakiś przypadek zaprowadził jego miłość na te rozdroża, gdzie tak niebezpiecznie w nocy?

— Przypadek, czy sam djabeł nawet!— ryknął czarny podróżny głosem tak przeraźliwym, że zatrzęsły się od niego obecne kobiety.

— To zdarza się czasami —przerwał mały czerwony człowieczek, zanosząc się od śmiechu.

Rysy jego twarzy ciągle włosami zakryte dotąd spostrzeżone być nie mogły, lecz przy tym serdecznym śmiechu pokazał swe gęste zęby, ostre jak szydła i białe jak kość słoniowa.

Poczém przysunął się bliżéj do komina, wyciągnął do ognia długie i wychudłe ręce, przez które przeświecało światło. Zdawało się, że rogowe miał palce. Człowiek czarny nie zwzacał na to uwagi.

— Przeklęty mój koń — mówił daléj czarny, — czy przerażony burzą, czy też opętany obłędem, unosił mnie trzy godziny po kniejach, górach i wądołach. Myślę, że więcéj niż dziesięć mil przebiegłem w tym nieznanym kraju i dzięki tylko waszéj kuźni jasnemu ogniowi wydostałem się na drogę. Widoczna to łaska Boża.

— Niech Jego imię będzie błogosławione, —wtrąciła stara Wojciechowa.

— Łaska Boża — pochwycił złośliwy człowieczek,—musi zawszei wszędzie towarzyszyć wielce dostojnemu i wielce wielebnemu panu Hansowi Pamfilius, byłemu opiekunowi klasztorów, rektorowi uniwersytetu Kwendlinburskiego, jednem słowem—mistrzowi, wielce uczonemu teologowi, filizofowi i prawnikowi.

I słowa te zakończył szaleńszym jeszcze od pierwszego śmiechem.

— Jakiém prawem —zawołał uczony, zgrzytając zębami—taki jak tybałwan śmie się wtrącać do rozmowy i przypisywać mi tytuły, których może nie używam, a może też nie chcę używąć.

— Wybaczcie, wybaczcie, szanowny mistrzu—odpowiedział czerwono-żółty malec, głaszcząc długiemi swemi rękami po płaszczu i rękawach starego mistrza.—Widziałem cię mistrzu w Kolonji (1), gdym tam pojechał ze swoim panem, i słyszałem, jak cię tam uważano za bardzo uczonego profesora.

Prawda, że byłeś tam mocno zakłopotany własnemi sprawami, gdy zaczynano ci tam mój mistrzu dogrzewać jedném przykrem wspomnieniem... Już nawet stos przyszykowali, a od roznieconego ognia byłoby bardzo gorąco, aleś ty wziął nogi za pas, mój mistrzu. Zabawna to nadzwyczaj powiasteczka i opowiedziałbym ją chętnie, gdyby przypadła do smaku obecnego towarzystwa.

— Lecz ja —odrzekł mistrz zniżonym głosem—wypłoszę ci duszę sztyletem, jeżeli poważysz się zwrócić rozmowę do tego przedmiotu. Dziwna to rzécz! —mówił głośniej,—że przyjmują takich hultajów w tak uczciwym domu.

— Uważałam go za służącego jego miłości, —powiedziała stara Wojciechowa.

— I ja też nie inaczéj myślałam—wtrąciła Szczepanowa.

— I ja i ja—dołożyły młode dziweczki tuląc się do siebie, jak przerażone w gnieździe pisklęta.

— O! złośliwe dzieci—krzyknął mały człowieczek, grzejąc ciągle długie swe palce i bawiąc się rozgrzebywaniem żarzących węgli—udajecie, żeście mnie niepoznały, kiedym się przybrał w cadzoziemskie świąteczne szaty. Patrzcież, patrzcież, na mnie moja Wojciechowa, czy się zmienił choć cokolwiek Raraszek, niegdyś pokojowiec a obecnie nadworny kdniuszy pana Olsztyńskiego na niedalekim zamku. Czy to majster Szczepan nie kuł naszych wierzchowców, które ja sam myłem, wycierałem, chędożyłem, że jak w lustrze przejrzeć się w nich można było?.

Grzywy i ogony własnemi, w miejsce grzebienia rozczesywałem palcami. Muszę być zawsze dobrze przyjmowany u kowali,

(1) Miasto Kolonja leży w Niemczech w prowincji Reńskiéj

gdyż koniuszy z kowalem idą zawsze ręka w rękę.

Mówiąc to, rozgarnął na prawo i na lewo gęste i długie czerwone włosy, które twarz mu dotąd zasłaniały, przyczém śmiał się tak głośno i przeraźliwie, że aż szyby w oknach brzęczały. Rozgarnięte włosy ukazały odrażające, żółte i pomarszczone, jak cytrynowa skóra, oblicze, w głębi którego błyszczały małe czerwone oczy, jaskrawsze od rozżarzonych w kominie węgli. Potworność jego rysów tak przestraszała kobiety, że o mało nie wydały okrzyku przerażenia. Stara Wojciechowa najpewniejszą była, że téj szkarady nigdy w życiu nie widziała, lecz wewnętrzne przeczucie jéj szeptało, aby nie narażała sobie czerwonego straszydła.

— Jeżeli można zobaczyć kiedyś coś podobnie potwornego — mruczał uczony Hans Pamfilius, to chyba na samém dnie piekła.

— To być bardzo może—odpowiedział Raraszek, śmiejąc się ciągle — ale ze swéj strony dziwię się także, żem cię tu przypadkiem napotkał w drodze, mój mistrzu. Komużby bowiem przyszło do głowy szukać wielce uczonego Hansa Pamfiliusa pod Złotą górą?

— Pod Złotą górą?—wybąknął zadziwiony Pamfilius grzmiącym swym głosem... Ach! Ach! dodał, przygryzając paznogcie.

— Ach! Ach! — powtórzył Raraszek z piekielnym śmiechem—myślę jednak mistrzu —mówił daléj—że korzystnie byłoby dla nas ludzi nauki, którzy łączymy miłość wiedzy z miłością złota, dowiedzieć się, dla czego to miejsce nazywa się Złotą górą? Musi tu być bardzo ciekawa historja. Matka Wojciechowa, która je umie wszystkie, bezwątpienia zechce nas opowiadaniem zabawić.

— Mało mnie obchodzą bajki z pod kądzieli—odpowiedział Pamfilius, a nagłem poruszeniem się zdradził chęć powstania, w celu uwolnienia się od niemiłego mu towarzystwa.

— Jeśli niedobrowolnie to z musu— zawołał Raraszek, i silnie schwycił za rękę uczonego, któremu się zdawało, że został przytrzymany żelaznemi kleszczami.—Matka Wojciechowa wielką nam zrobi przyjemność—mówił daléj—jeżeli opowie historję o Złotéj-górze.

— Przyrzekłam już ją dawno moim dzieciom—odpowiedziała staruszka — więc tém ochotniej zaspokoję i ciekawość ich miłości. Z resztą to rzecz bardzo krótka. Za dawnych czasów nasze tu strony smutniéj jeszcze niż dziś wyglądały. Dokoła na tych górach, były tylko bory i same bory. Będzie temu lat sto, a może więcéj, bo mi tego nie pamiętać, jak jeden pan młody, a bardzo pobożny i bardzo bogaty, na drugim końcu tego parowu, jakby na prost naszéj kuźni, tylko że na saméj górze, w maleńkiéj budce osiadł jak pustelnik. Z jakiego rodu on pochodził, to rzecz zupełnie niewiadoma, gdyż nikomu nie chciał powiedzieć, nazywając się tylko grzesznikiem Janem. Nazywał się on sam grzesznikiem, ale żywot jego Bogu był tak miły, że głośno o tém ludzie mówią, iż od króla poszło już pisanie do Rzymu, aby tego Jana uznać za świętego.

— Tam do djabła! —szydersko wtrącił Raraszek.

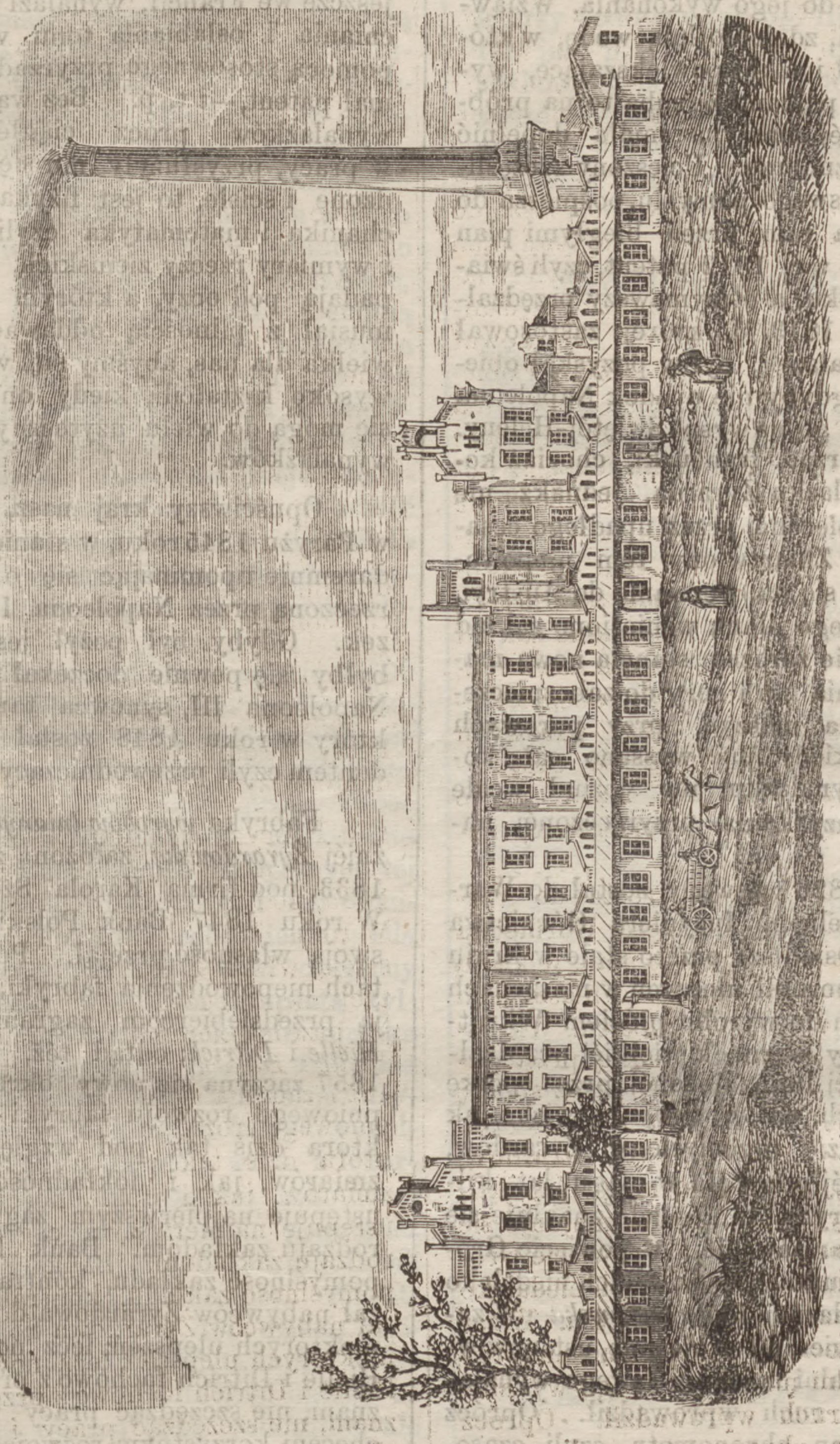
— Otóż ten to Jan, zostawszy pustelnikiem, wszystkie swoje bogactwa tu przeniósł, a choć sam pustelnik, rozdawał jałmużny. Niedługo potém sprowadził majstrów, wymurował kościół i klasztór, a dokoła klasztoru osadzał ludzi na roli, dając im pieniądze i na sprzęty i na dobytek. Do klasztoru naszło się księży i cudowny obraz z sobą przynieśli, to téż na nabożeństwa i odpusty wielki był zawsze ścisk ludu. Bóg pobłogosławił dobrym chęciom. W kilka lat osiedli na górze mieszkańcy, wszystkiego mieli dostatek, chmary dziadów szczodre od ojca Jana dostawały wsparcia i wszyscy, jakby się zmówili, górę pustelnika zaczęli nazywać Złotą-górą i tak się też teraz i wieś przy klasztorze pisze.

— Bardzo budnjąca historja — rzekł szydersko Pamfilius—słyszałem już nie jedną podobną, lecz tylko w krajach, gdzie grube zabobony ogłupiły ludzi. Ale co ważniejsza, zdaje mi się, że się wypogodziło, wiatr przestał huczeć i deszcz nie bije w okna...

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYRARDOWSKA FABRYKA PŁÓTNA
i Przędzalnia
a przytém słów kilka o Filipie Żyrardzie.

Z wdzięcznością należy wspominać nazwiska tych cudzoziemców, którzy nam zostawili pamiątki swéj działalności na drodze przemysłowéj, po któréj to drodze dopiero od niedawna uczymy się chodzić. Szczególniéj rozwój przemysłu fabrycznego u nas wiele zawdzięcza owym przybyszom, którzy znowu doznawszy pośród nas szczerego przyjęcia swych trudów niezmordowanych, z upływem czasu stali się nam już swojakami i za takich też sami ze się swéj strony uważają. Imiona: Steinkellera, Szlenkera, Frażeta, Temlera, Szwedych Rentla, Feista, Spiessa i t. p., a obok nich i Żyrarda francuza, więcéj są w oczach naszych warte niż tysiące swojskich nazwisk, jeżeli prócz próżniactwa i rozkosznego życia niczém innem przedstawić się niemogą.



Filip Żyrard (1) urodził się we Francji 1775 r.; zrazu służył wojskowo, następnie zmuszony wyjść z kraju, we Włoszech w mieście Livorno zajmował się wyrobem mydła, a gdy mu pozwolono wrócić do kraju, założył fabrykę wyrobów chemicznych. Zagrożony jednak uwięzieniem, śród ówczesnych zaburzeń we Francji, uchodzi znowu do Włoch, gdzie w mieście Nicei został professorem chemji. Kiedy jednak we Francji ustaliła się spokojność, wraca znowu do ojczyzny i w Paryżu staje się głośnym z wielu mechanicznych wynalazków.

Napoleon I, rządząc Francją jako *Cesarz*, ogłosił roku 1810 w gazetach milijon franków

(1) Szczegóły o życiu Żyrarda, i o fabryce żyrardowskiéj zastosowane są z większéj pracy umieszczonéj w Piśmie „Kłosy" wychodzącém w Warsz.

nagrody (to jest około dwóch miljonów złotych) za wynalezienie *maszyny do przędzenia lnu.* Zaledwo to ogłoszenie Żyrard przeczytał, wpadł zaraz na pomysł nowy i zabrał się do jego wykonania. Wziąwszy kłębek nici, zdziebło lnu, wodę, w któréj go namoczył i szkło powiększające, wykonał najprzód palcami z gruba to na próbkę, czego późniéj maszyna miała dopełnić w większym rozmiarze. Ucieszony szczęśliwym skutkiem swego pomysłu, pośpiesza do Paryża, objawia tam przed biegłymi plan cały, otrzymuje w r. 1812 patent, czyli świadectwo wynalazku, a otrzymawszy przędzalnię lnu w roku 1813, do któréj zastosował nowy swój wynalazek, byłby pozyskał obiecaną nagrodę, gdyby nie upadek Napoleona I, i wywiezienie go na wyspę Świętéj-Heleny.

Następny rząd francuzki, chociaż korzystał z wynalazku Żyrarda, jednakże nie wypłacił mu obiecanéj przez upadłego cesarza nagrody. Zmartwiony tém niepowodzeniem udał się na wezwanie do Austryi, i tam według jego planu wzniesiono zakład przędzalni, gdzie zarazem stanęła nowa maszyna do czesania lnu i rury do zabezpieczenia od pękania maszyn przy parowych statkach. Ale kiedy już wyssano całą korzyść z jego wynalazku, nie doznał wcale poparcia do uzyskania przyrzeczonéj nagrody.

W roku 1826 wezwany został do Warszawy na Naczelnego Inżyniera Górnictwa Krajowego. Osiadłszy przeto stale w kraju naszym, wiele porobił ulepszeń w maszynach przeznaczonych do wyrobu płócien. Wkrótce objął główny kierunek wielkiéj przędzalni mechanicznéj lnu, założonéj przez spółkę ludzi zamożnych, dał jéj swoje nazwisko jak niemniéj osadzie przemysłowéj Żyrardów, która około niéj powstała w ciągu lat kilkunastu. Fabryka ta i osada znajduje się w Gubernji Warszawskiéj, w powiecie Grodziskim, na gruntach Guzowskich niedaleko stacji Kolei Żelaznéj *Ruda Guzowska.* W zakładzie tym uwiecznił swoje imię, ustanowiwszy w przędzalni machiny swego wynalasku, które w ruch wprowadził. Oprócz tego wyrobił on chronometr, czyli czasomierz, albo inaczéj udokładniony zegar, dla Banku Polskiego, — wynalazł przyrząd do wytłaczania i ulatniania soku burakowego, koło hydrauliczne, to jest wodne, do użytkowania przy wielkich spadkach wody,— oraz ulepszenia w wyrobie strzelb, a będąc jeszcze we Francji, wynalazł sposób wzmacniania i osłabiania tonu w organach, za pomocą stosownego przyrządu, na co otrzymał patent,—i t. p. Bez wątpienia do tylu wynalazków prócz ciągłéj wytrwałości w pracy, przysłużyły mu się nauki przyrodzone i ścisłe, to jest: fizyka, chemija, mechanika i matematyka czyli rachunkowość i wymiary rzeczy ziemskich, które nam podpadają pod oczy, a którym się w młodości musiał z pilnością oddawać.— Zachęta to wielka dla nas, abyśmy się w tych naukach wysoko kształcili, kiedy one tak przydać się mogą do wielu użytecznych i sławnych wynalazków.

Opuściwszy kraj nasz, Żyrard umarł w Paryżu 1845 roku, w stanie niezamożnym, daremnie upominając się o nagrodę przyrzeczoną przez Napoleona I za swój wynazek. Gdyby był pożył jeszcze lat kilka, byłby się pewnie doczekał téj nagrody, od Napoleona III, synowca tamtego Cesarza, który w roku 1848 został odrany Prezydentem czyli przewodniczącym Francji.

Fabryka *wyrobów lnianych*, nazwana późniéj *Żyrardowską*, założoną została w roku 1833, pod firmą Karola Szoltza i Spółki. W roku 1847 Bank Polski fabrykę tę na swoją własność przejął. Po dziesięciu latach niepowodzenia fabryki, Bank sprzedał ją przedsiebiercom zagranicznym, panom *Hielle* i *Ditrich*; odtąd téż, to jest od roku 1857 zaczyna się nowy okres stałego i stopniowego rozwoju fabryki Żyrardowskiéj, która dziś tak pod względem swych rozmiarów, jak i dokładności wyrobów nie ustępuje najpierwszym zagranicznym tego rodzaju zakładom. Bank Polski dbając o pomyślność zakładu, kontraktem zobowiązał nabywców Żyrardowa do zaprowadzenia niektórych ulepszeń; lecz nowonabywcy pp. Hielle i Ditrich fachowo z przedmiotem obeznani, nie szczędząc pracy i nakładów, zachęceni korzystnym rozwojem swego zakładu, o wiele przewyższyli w wykonaniu zobowiązania kontraktowe.

Dziś wspaniała fabryka Żyrardowska, po ostateczném przebudowaniu wyglądająca tak, jak jest przedstawiona w obrazku, składa się: *z przędzalni* mechnicznéj lnu o 8,000 wrzecionach, działającéj za pomocą machiny o sile 140 koni; z tkalni mechanicznéj o 5,000 warsztataah tkackich, umieszczonéj w oddzielnym budynku w ogromnéj sali oświeconéj dachem szklannym, a obejmującéj 10,000 łokci kwadratowych powierzchni. Warsztaty te wprawia w ruch machina parowa o sile 60 koni; wreszcie do fabryki tej należą warsztaty stolarskie, tokarskie i t. p., poruszane machiną parową o sile 10 koni, — oraz blicharnia pszędzy i płótna z appretownią, to jest z przyrządzalnią ostateczną płótna i z machinami poruszanemi siłą wody z pomocą dwóch machin parowych. Gazownia miejscowa oświeca 750 płomieni gazowych. Wartość budowli i machin wynosi rubli sr. 81,500 to jest blisko pół szósta miljona złotych, a wyrób roczny ocenia się na 6 miljonów złotych.

Zakład Żyrardowski daje zajęcie 1,600 robotnikom. Właściciele fabryki Żyrardowskiéj ze szlachetnéj i rozumnéj zasady, nie szczędzą starań i kosztów, żeby byt robotnika polepszyć. Przy pilnéj pracy robotnik zarabia do 5 złp. dziennie. Mieszkania czyste i tanie w 24 domach fabrycznych téj osady, zapewniają robotnikom i ich rodzinom wygodne i zdrowe schronienie. Dla ludności przechodniéj służy dom obszerny w rodzaju koszar, w którym za opłatą tylko złotego 1 tygodniowo, robotnik mieszka w obszernych i ogrzanych salach; łóżko ma żelazne z materacem, oraz bezpłatne użytkowanie ogrzewanéj kosztem fabryki wspólnéj kuchi. Opieka lekarska wraz z lekarstwami zapewnione są każdemu robotnikowi z funduszów kassy szpitalnéj, podobnież i bezpłatna nauka dzieci w dwóch szkółkach elementarnych i jednéj wieczornéj. Wkrótce otwartą będzie *Ochrona* dla dzieci, których rodzice dzień cały pozostawając w fabryce, nie mogą im dostatecznéj opieki udzielić. Nigdy też nie brak robotnika, ale owszém z wielu zgłaszających się zarząd fabryki wybiera dla siebie pilniejszych, zdolniejszych i moralnych.

Otóż powtórzyć jeszcze raz możemy, że wdzięczność i szczere uznanie należy się od nas dla tych wszystkich obcych a zamieszkałych pomiedzy nami przemysłowców, którzy podobnie jak pp. Hielle i Ditrich, lub też jak p. Hordliczko, o którego hutach szklannych powiemy następnie obszerniéj, siejąc pomiędzy nami wiele dobrego, przyczyniają się zarazem do podniesienia przemysłowéj pracy w naszym kraju.

Modlitwa za Rodziców.

Kiedy w porannéj rozmyślam godzinie,
Do Ciebie Boże, modły moje wznoszę,
Nad inne tkliwiéj jedna w Niebo płynie,
Dłużéj i rzewniej Cię proszę.
Ze łzą miłości wznoszę to błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

***

A prośbę taką Ty przyjmiesz tam w niebie,
Ojcu i Matce łask użyczysz Swoich,
Bo modły dziecka miłe są u Ciebie,
Ty błagań wysłuchasz moich;
Przed tron Twój Boże, wznoszę me błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

***

Oni tu Boże, wiedli mnie do Ciebie,
A gdy cię całem sercem ukochałem,
Boże mój Ojcze, który jesteś w niebie,
W nich ja Twój obraz widziałem.
I z większa jeszcze czcią wzniosłem błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

***

Czucie miłości co mnie łączy z niemi,
Tyś sam wlał w serce, niepojęty Boże!
Tyś sam zjednoczył węzłami swiętemi,
Jakich nikt zerwać nie może;
Więc z wiarą w Ciebie wznoszę to błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

***

Niech własne dziecko nieba im przychyli,
I dni ich życia niech szczęściem otoczy,
A serca nasze w każdéj życia chwili
Niech swięta miłość jednoczy.
O Boże wielki, przyjm moje błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

RADA GOSPODARSKA.

Trzeba koniecznie uczynić pewne rozróżnienie pomiędzy *herbatą czarną,* która jest zdrową, a *zieloną*, która jest szkodliwą. Oto

co pod tym względem mówi jeden z professorów nauk lekarskich w Paryżu: „Herbata *zielona* powoduje objawy nerwowe, wyrażające się przez częste ziewanie, niezwykłą drażliwość, gniecenie w dołku żołądkowym, bicie serca, lekkie drganie wszystkich członków. Po użyciu jéj następuje zwykle osłabienie i jakiś dziwny stan cierpienia nerwowego. Herbata *czarna* przeciwnie, pobudza działalność sił ciała i ducha, oraz regularne wydzielanie się cieplika zwierzęcego. Użycie jéj w zwykłych okolicznościach życia nie powoduje żadnego rozdrażnienia nerwowego!!

DWA PIÓRA.

Przypowiastka.

Gdy pióro, co talentu na złe używało,
Przymówiło drugiemu, że mało go miało;
Drugie na to odrzekło: „Nie talent nas zdobi,
Lecz to, gdy się użytek z niego dobry robi.“

F. Mikorski.

Warujcie kochani Państwo, ale to już moja natura taka, że lubię często, panie-tego, rosprawiać o tym Frydrychu, co go to Prusacy nazywają wielkim. Natura wilka ciągnie do lasu, mówią, a mnie to chyba już tylko tabaka pociąga do tego opowiadania, bo tak samo, panie-tego, jak ja i ów król Frydrych lubił zapamiętale albankę. Miał on zwyczaj zadawać każdemu żołnierzowi który wstępował do jego przybocznéj gwardji, tylko te trzy niezmienne pytania: wiele ma lat? jak długo służył? i czy żołd go dochodzi oraz czy dobrze się z nim obchodzą?—Raz zameldował się jeden żołnierz, który służył we Francji, że chce wstąpić do pruskiéj armji. Że miał postawę dzielną i wydatną, przeto przyjęto go odrazu. Nie rozumiał ani słówka po niemiecku, więc kapitan w rozkazie swoim udzielił mu trzy odpowiedzi, których się powinien wyuczyć na pamięć, żeby należycie odpowiedzieć królowi. Żołnierz, panie-tego, zrobił tak, jak mu kazano, i umiał doskonale trzy odpowiedzi na ten dzień, który król wyznaczył na przegląd swéj gwardji. Ale nieszczęściem panie-tego, król stanąwszy przy nim, zaczął od drugiego pytania: „Jak długo służył?“—„Dwadzieścia jeden lat, Najjaśniejszy Panie!“— odpowiedział żołnierz.— —Król uderzony tą odpowiedzią, boć żołnierza nie widział znowu tak starym, żeby muszkiet swój tak dawno już dźwigał, zapytał daléj: „Wiele ma lat?“ — „Rok jeden, Najjaśniejszy Panie!“— —Frydrych zdziwiony jeszcze bardziéj tą drugą odpowiedzią, zawołał gniewnie: „Jeden z nas musi być chyba szalonym!“— —Żołnierz, panie-tego, wziął te słowa za trzecie zapytanie, więc rzekł wyprostowany: — „Oboje, Najjaśniejszy Panie!“— „To mi się pierwszy raz w życiu przytrafiło, żeby mnie ktoś przed całą armiją mówił, że jestem szalony!“— odrzekł król zdumiony — —Żołnierz zaś, który, panie-tego, z całym się swoim skarbem niemieckiéj mowy wysypał, czując całą swą niewinność stał wciąż nieporuszony przed Frydrychem. Król, zadał mu inne pytania, aby dojść do gruntu rzeczy i dopiero odpowiedział mu grenadjer we francuzkiéj swéj mowie, że ani słówka nie rozumie po niemiecku. Król się uśmiał, poklepał go, panie-tego, po ramieniu i poszedł daléj.



Kmotr Gabryś.

Zagadki.

1. Siedzi dziewka w ciemnicy, szyje czepiec bez nici?

2. Siedzi łatka, czarna łatka, po brzezinie skacze?

Znaczenie poprzedniéj Zagadki: *wilk*, *owce*, *psy*, *ludzie*, *konie*.

Sprostowanie. W Nr. 15 na str. 120, w drugiéj połowie, w wierszu 23 od góry zamiast: Kocha powinno być: *Klocha*.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Świat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—
Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.